



Z Klausem Leschikiem rozmawia

Dawid Smolorz

Na początek chciałbym zapytać o Pana imię, które jest nietypowe jak na człowieka mieszkającego w Polsce, choć oczywiście wiem, że urodził się Pan jeszcze w czasach niemieckich. Czy w komunistycznej Polsce miał Pan jakieś perypetie związane z tym imieniem?

Urodziłem się 12 stycznia 1945 r., czyli jeszcze w czasach niemieckich. Moje dokumenty są w opolskim ratuszu i tam wszędzie jestem zapisany jako „Klaus Franz Leschik”. Kiedy byłem w szkole podstawowej, zmuszono mnie do zmiany imienia na Mikołaj.

Wystawiono mi nowe dokumenty, chociaż tego nie chciałem. Nie protestowałem, bo byłem wtedy dzieckiem, a moi rodzice się bali. To był trudny okres powojenny. Kiedy dostałem powołanie do wojska, to oświadczyłem, że nie jestem żaden Mikołaj, tylko Klaus. Dostałem za to wtedy od wojskowych poważną reprimendę. W okresie 1989/90 byłem jednym z pierwszych, którzy zażądali przywrócenia oryginalnego brzmienia imienia i nazwiska. Trzeba było napisać podanie, ale ogólnie odbyło się to bez problemów. Informacja o tym, że oficjalnie znowu nazywam się Klaus, poszła wtedy też do mojego zakładu pracy. Kiedy po raz pierwszy po zmianie zgłosiłem się po wypłatę, zobaczyłem, że w rubryce jest napisane „Mikołaj Lesik” i „Klaus Leschik”. Jak mi powiedzieli, nie akceptują niemieckiego brzmienia i muszą mieć moje dane także po polsku. Ale lata mijały i ludzie normalnieli. Dziś bez problemów mogę się posługiwać moim prawdziwym imieniem i nazwiskiem, z czego jestem bardzo *stolz* (dumny)!

A jak zwracano się do Pana w domu?

Tylko i wyłącznie Klaus.

Przed 1989 rokiem – jak wiadomo – oficjalnie nie było w Polsce Niemców. Czy w Pańskim domu niemieckość była mimo to pielęgnowana?

Była, chociaż bezpośrednio po wojnie byliśmy zmuszani, żeby mówić po polsku. Pamiętam, że w pierwszym dniu szkoły dostałem od matki lanie, bo powiedziałem coś po niemiecku. Tak wielki był wtedy strach. Wszyscy się bali, podsłuchiwali nas pod oknami i można było ściągnąć na siebie

wielkie kłopoty. Rodzice byli wystraszeni. Ojciec był szczęśliwy, że w ogóle przeżył wojnę.

Kiedy przyszedł 1989 rok, Pan był jednym z tych, którzy jako pierwsi w okolicy zaczęli się domagać swobody używania języka niemieckiego i zezwolenia na powstanie niemieckiej organizacji.

Nie mogę powiedzieć, że to ja zakładałem tu mniejszość. Głównym motorem napędowym był u nas Erich Gwiosda ze Szczedrzyka. Ja zostałem przewodniczącym po tym, jak on wyjechał do Niemiec. Gdy w 1990 roku zakładaliśmy koło mniejszości, ja byłem odpowiedzialny za wprowadzenie języka niemieckiego do szkoły. Dyrektorem była wtedy pani Gryc – wspaniała osoba. Razem szukaliśmy odpowiedniej ścieżki i tak długo chodziliśmy po urzędach, aż wprowadzono u nas naukę niemieckiego. To był 1991 rok. A już rok wcześniej odbyła się w tutejszym kościele pierwsza msza święta w



języku niemieckim. Wtedy księdzem był u nas Heinrich Schir, który mówił po niemiecku. Na dzień przed pierwszą mszą spotkaliśmy się w karczmie w Szczedrzyku, żeby poćwiczyć niemieckie pieśni kościelne. Dzisiaj poza mszami mamy też niemieckie nabożeństwa majowe, różańcowe i adoracje. Dawniej nawet kazania głoszone były u nas po niemiecku. Księża się zmieniali, ale to pozostało niezmiennie. Byliśmy kiedyś u arcybiskupa Nossola w związku z planowaną zmianą proboszcza. Ksiądz arcybiskup powiedział, że przecież on sam wprowadził na naszym terenie niemieckie msze, więc nie musimy się obawiać, że dostaniemy proboszcza nieznającego języka niemieckiego.

Pamięta Pan tę pierwszą niemiecką mszę?

Tak! Płakaliśmy! Ludzie śpiewali, a w oczach mieli łzy. To było bardzo wzruszające przeżycie i dla młodszych, i dla starszych. Kościół był pełny. Kiedy rozpoczynaliśmy działalność, mieliśmy w naszym kole – nie przesadzam ani nie kłamię – 1400 członków.

Jak to się stało, że tak szybko wprowadziliście niemiecki w szkole i w kościele? To nie było wtedy aż tak popularne.

Nie było to popularne, ale była możliwość i my z niej skorzystaliśmy. Mniejszość niemiecka ma wiele przywilejów zapisanych w ustawach, ale w urzędach wysokie funkcje pełnią też ludzie

twardogłowi, którzy myślą inaczej niż my i nie chcą realizować niektórych zapisów. Prawo jest, ale są tacy ludzie i nic na to nie poradzimy. My, śląscy Niemcy, jesteśmy na ogół dość bojaźliwi. Często jest jakaś obawa, że powie się coś niewłaściwego. A przecież chcemy dalej należeć do województwa opolskiego, nie do jakiegoś innego.



Czemu jesteśmy bojaźliwi?

Tak było przez długi czas i tak zostało. Mamy już coraz więcej wykształconych ludzi, ludzi na stanowiskach. Kiedyś były takie czasy, że byliśmy ubijani i trochę się do tego przyzwyczailiśmy. Oczywiście dzisiaj każdy może mieć swoje zdanie, nie musimy się już obawiać. Bardzo dużo się zmieniło.

Z tego, co Pan opowiadał, można odnieść wrażenie, że Pan nigdy nie był bojaźliwym Ślązakiem.

Ja się nie bałem. Ale też jestem takim człowiekiem, który lubi z innymi pogadać tak, żeby obie strony miały z tego korzyść. Do tej pory przeważnie mi się to udawało, choć nie zawsze. Kiedy byłem przewodniczącym zarządu gminnego, chcieliśmy

wprowadzić tablice z dwujęzycznymi nazwami. Większość miejscowości w konsultacjach była na „tak”, ale rada sprzeciwiła się temu pomysłowi. Wyszło na to, że zdanie ludzi się nie liczy. To była demonstracja władzy.

Działa Pan aktywnie w mniejszości, ale można powiedzieć, że było Panu mało i zaangażował się Pan dodatkowo także w sprawy gminy. Dlaczego potrzebował Pan jeszcze więcej zajęć?

Nie potrzebowałem więcej. Po prostu okazało się kiedyś, że było jakieś dodatkowe zadanie do wykonania i wszyscy obecni na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym stwierdzili, że Klaus powinien podjąć działalność w zarządzie gminy. No i przez trzy kadencje, czyli dwanaście lat byłem tam przewodniczącym. Organizowałem wycieczki, pielgrzymki, konkursy poezji niemieckiej dla młodzieży, powstawały grupy śpiewacze. Mieliśmy zespół Echo DFK Szczedrzyk, ale zainteresowanie ze strony młodzieży było coraz mniejsze i po dwudziestu latach grupa przestała istnieć. Nadal działają w gminie inne dobre zespoły – grupa taneczna Dialog w Dylakach, w Biestrzynniku – Dzióbki, w Antoniowie – Opolskie Dziołchy, a w Ozimku – Heidi. Poza tym mamy solistkę Julię Ledwoch ze Szczedrzyka i młodziutką Vanessę Gonschior.

Właściwie mógłby Pan spędzać czas w domu i delektować się wolnym czasem, ale jest Pan dalej aktywny.

Lat przybywa, jestem coraz starszy. Chciałoby się robić więcej, ale czasy się zmieniają. Chciałbym, żeby młodzi przejęli teraz nasze koło i prowadzili je według nowych idei. Bo jednak starsi ludzie mają inną mentalność niż młodzi.

Gdyby z tych wielu ważnych spraw, które udało się Panu zrealizować w działalności społecznej, samorządowej czy mniejszościowej, miał Pan wybrać jedną, najważniejszą, co by to było?

Bardzo ważne było to, żeby młodzież mogła się uczyć niemieckiego, żeby ten język był pielęgnowany. Także nauka niemieckiego dla dzieci w wieku przedszkolnym miała duże znaczenie. To jest rzecz, która przynosi owoce. Sporo młodych studiowało język niemiecki – teraz mają dobrą pracę w Opolu czy we Wrocławiu. Nie muszą już wyjeżdżać do Niemiec, są na miejscu i dobrze zarabiają.

A czy Pan myślał kiedyś poważnie o wyjeździe do Niemiec?

Tak, w latach osiemdziesiątych. Jeden z moich braci przez 23 lata starał się o wyjazd, ale władze nie chciały go wypuścić. Więc zaczęli pojedynczo uciekać, najpierw szwagierka, potem dzieci. Brat dostał zgodę na przesiedlenie dopiero wtedy, kiedy była tam już cała jego rodzina. Ja też chciałem wyjechać do Niemiec. Załatwiłem sobie wszystkie dokumenty, ale zanim przyszła oficjalna zgoda, to wybudowaliśmy dom. Miałem zostawić ten dom, wyjechać i zamieszkać tam w bloku? Tego sobie nie potrafiłem wyobrazić. Powiedziałem sobie: niech się dzieje, co chce – zostaję tutaj i będę robił tak, żebyśmy dobrze żyli. I to mi się udało. Z tym, że mój dzień pracy nigdy nie trwał osiem godzin, tylko więcej. Ale nie narzekałem na brak pieniędzy. Mój syn też pracował w Niemczech. Wrócił, wybudował dom i otworzył zakład stolarski. Nie wiem, czy w Niemczech powodziłoby mu tak dobrze, jak powodzi mu się tutaj.

Na zakończenie pytanie o heimat. O czym Pan myśli, kiedy słyszy Pan to słowo?

Mój heimat jest tu, na Opolszczyźnie. Tu się dobrze czuję. Urodziłem się tu za niemieckich czasów, jestem Niemcem, tu są korzenie moje i moich przodków. Tutaj jestem u siebie, w swoim domu. I tak jest dobrze. Lubię jeździć do Niemiec, tam mamy drugi heimat. Jako Niemcy mamy tam takie same prawa jak ludzie, którzy tam mieszkają, ale tu jest nasze gniazdo, tu są korzenie. Ja osobiście uważam, że lepiej jest żyć tu i dlatego zostałem tu razem z moją rodziną.